11. Sierpnia. **Nr. 36.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

I.

Z woli niestałości losów, a może trochę i z woli Bożej, na mocy oraz złożonej przed dwudziestą laty przysięgi, jest pan Boromeusz Brzoza urzędnikiem, urzędnikiem cesarskim; chociaż od pewnego czasu chce, ażeby go nazywano urzędnikiem krajowym.

Pan Brzoza mieszka oczywiście we Lwowie, i prowadzi, a raczej żona pana Brzozy prowadzi gospodarstwo, jak przystoi (własne słowa jejmości) urzędnikowi biorącemu czterdzieści pięć guldenów, trzydzieści trzy i jedną trzecią część centa pensji miesięcznie.

— Przy ulicy Pańskiej mieszkać będziemy — rzekł pan Brzoza wjeżdżając przed dwudziestą laty do Lwowa, i dotrzymuje przyrzeczenia.

Kiedy podówczas pani Boromeuszowa krzywiła się trochę spostrzegłszy, iż owe zachwalone pomieszkanie nie na ulicę, ale na obszerny dziedziniec ma widok, że jednem słowem przyjdzie mieszkać w oficynie — mąż czuły uspokoił ją uwagą dyplomatyczną:

— Wprawdzie to oficyna, ale gdy kto zapyta: — Gdzie państwo mieszkacie? — Odpowiemy: Przy ulicy Pańskiej, wchód przez bramę, na lewo i tak dalej, jednem słowem, nim się dowie o oficynie, usłyszy najpierw ulicę Pańską; to duszkó wywiera jakiś urok. Otoż tam mieszkać będziemy. I zamieszkali. Bóg pobłogosławił, przybyły dzieci, kilka córek i synek, w ślad zatem przybyło i wydatków więcej, ale oraz i wymagań ze strony pani Boromeuszowej. Pani albowiem porobiła mnóstwo znajomości, a znajomości te nauczyły ją, albo raczej dawały jej lekcje postępowania z mężem, nadania sobie tonu, porzucenia oficyny, gdzie najczęściej mieszkają lokaje; przysłały jej nakoniec usłużnego żyda, kupca handlującego meblami, zaręczyły nawet za nią, jakby ręczyć mogły za kieszeń męża, który długi, wydatki nowe, wydatki coraz nowsze i t. p. opłacać musiał.

W pięć lat mówił pan Boromeusz, że liczy już trzy razy tyle guldenów długów, co pobiera pensji; w lat dziesięć zaczął gubić rachunek, lecz przypominali mu go wierzyciele; dzisiaj powiada, woła raczej:

— Niestety, niestety! pensja ta sama, a długów jak włosów na głowie!

Dzisiaj za to usiłuje żona nastalić jego zwątlone serce. Żona kłóci i godzi się z wierzycielami, zawiera nowe pożyczki, spekuluje, tylko nie płaci dawych długów.

W takim opłakanym stanie znajduje się obecnie rodzina pana Boromeusza, ale już zajmującego pomieszkanie nie w oficynie lecz frontowe, na drugiem piętrze.

Pan Boromeusz, człowiek wzrostu średniego, ujmującej nawet dosyć powierzchowności, brunet, przedwcześnie osiwiały, o czarnem, ale już bez życia oku, wszedł właśnie do pierwszego pokoju. Powrócił z bióra, zniechęcony, zziębnięty nawet, bo już koniec października, a pan Boromeusz chodzi bez palta, w jednym surducie.

Wszedł, chciał uciekać do sofy, jedynej starej, która pozostała z rozbicia po dawnem umeblowaniu, zanim jejmość nie umeblowała pokojów na kredyt — chciał, ale go córki obstąpiły, przytrzymały uchodzącego.

— Tatku, kochany! mamy prośbę — zawołały we trzy głosy od razu.

— Dobrze, proście sobie, ja słucham. O cóż prosicie?

— Już zimno, nawet bardzo zimno, nigdzie wyjść nie możemy — odezwała się najstarsza Melanja.

— Czyliż ja wam bronię? — Czy zresztą nie dosyć nachodziłyście się przez całe lato.

— Pewnie, że przez całe lato dosyć, ale w jesieni ani krokiem nie byłyśmy, nigdzie — przemówiła najmłodsza, czternastoletnia Urszulka.

— Ależ nie bronię, powtarzam — mówił pan Boromeusz, usiłując się uwolnić.

— Ależ my nie mamy w czem pokazać się między ludźmi — odparła teraz dosyć ostro Melanja. — Wszystko co mamy, nie modne, ani przerobić z czego, ani nic nowego. Co ludzie pomyślą?

Średnia, niebieskooka Stasia potwierdziła, dodawszy ze swej strony:

— To prawda, co ludzie powiedzą? — Gotowi powiedzieć, że tak biedni jesteśmy.

— Bo my też w istocie bardzo biedni, moje dzieci, ubodzy — rzekł pan Boromeusz, sadowiąc się nakoniec na ulubionem miejscu na sofie. — A co gorsza, ubodzy nie tylko materjalnie, ale ubodzy na duchu...

— Tatko zawsze swoje kazanie — przerwała Urszulka.

Ojciec uścisnął córkę i uśmiechnął się boleśnie.

— Może kazanie, jak wam się podoba, ale zawsze powtarzałem i powtarzam, że nie nauczywszy się poskramiać słabostek, przestawania na małem, do niczego nie dojdziemy. Próżność moje dzieci, próżność wasza robi wam zmartwienie, a mnie do rozpaczy przywodzi.

Córki umilkły, pan Boromeusz nie odzywał się bowiem nigdy tak poważnie; chociaż zmartwiony, częściej zbywał wszelki smutek żartami. Jeżeli, jak wspomniała jedna z córek, zaczynał kazanie, to bywały to zawsze napomnienia tak łagodne, tak raczej różową ironią niż

czarną złością zaprawne, że córki słuchały go chętnie i długo, i bez wznawiania już uwag ze swej strony.

Dodać potrzeba, że pan Boromeusz nie należał do rzędu ludzi, których formy pozbawiły wszelkiego ducha. W stosunkach zewnętrznych, w zetknięciu się z kolegami w biórze, potrafił on być lepszym pozornie biurokratą od kolegów. Kiedy przyszedł czas i manja przezywania się »krajowcami,« czas »dobrych chęci dla kraju« ze strony nawet spleśniałych biurokratów, to pan Boromeusz potrafił tak dobrze dosiąść i uwijać na tym »krajowym« koniu, że wzbudzał podziwienie, rozniecał zapał, porywał miłością tej partykularnej *patriae*.

W domu przed rodziną nie ukrywał się z uczuciami. Jakkolwiek zawsze wpierw przekonawszy się, czy kto nie podsłuchuje, zabierał następnie głos, robiąc zastrzeżenie, że polityki nie lubi, że w ogóle polityka nic go nie obchodzi. Po takim wstępie odzywał się zwykle do córek:

— Dzieci! — wiecie, że jestem Polakiem, że matka wasza Polka, więc bezwątpienia i wy, nasze dzieci, także nie co innego.

Tak to się zaczynały owe wspomniane po raz drugi kazania. Temi uwagami uciszał wygórowane czasem wymagania córek. I dzisiaj zauważał, że córeczki przygotowały się z całym arsenałem kwestyj, któreby mu inaczej trudno przyszło rozwiązać, jak zwróceniem uwagi na całą społeczność, zastanowieniem się nad próżnością, pierwszem źródłem nieszczęść i upadków rodzin.

Kiedy pan Boromeusz tak rozmyśla, odpędza smutek, chcąc odezwać się wesoło, i jakim jowialnym zwrotem przejść do porządku dziennego nad kwestjami mody, nowych odziewadeł i spaceru, przypuszcza znowu atak świeży najstarsza Melanja.

— Pojutrze niedziela; jeżeli tatko nie pomyśli dzisiaj, ażebyśmy miały co włożyć na siebie, będziemy musiały cały dzień przesiedzieć w domu. Nawet w kościele nie mamy się w czem pokazać.

— A na wałach to ani myśleć — dodaje z żalem najmłodsza.

Stasia jedna milczy; ukochane dziecko pana Boromeusza. On też do niej najpierw się zwrócił.

— Moje dziecko, czy i ty żyć nie możesz bez wałów, a być w kościele w tem, co masz z przeszłej jesieni?

Stasia odpowiedziałaby chętnie, ale obawia się większości, albowiem straszny jest terroryzm w rzeczach mody i spaceru. Odpowiedziała więc ojcu tylko wymownem spojrzeniem i milczy.

Pan Boromeusz westchnął.

— Ach! Boże mój, Boże, czemu to ten błogosławiony rok 1863 nie trwał przynajmniej o rok dłużej.

— Tatko chce nas zbyć żartem — ozwała się Melanja.

— Nie, ja myślę bardzo poważnie. W owym błogosławionym, świętej pamięci roku, jakiż to spokój panował w każdym polskim domu. Panienki czarno ubrane, jejmość czarno ubrana, moda wyniosła się gdzieś była; nie było próżności, ale była miłość, litość... Teraz to wszystko jakby pod ziemię się zapadło... Ot, wszystko to marzenie...

Weszła w tej chwili pani Boromeuszowa i przerwała mężowi tak dobrze rozpoczęte zażegnywanie burzy.

— Dobrze, że jesteś już w domu. Mówiłyśmy właśnie z dziewczętami, że potrzebaby coś sprawić na jesień...

— Czy i ty także! — zawołał zrozpaczony pan Boromeusz.

— Jakto, alboż to nie jest moim obowiązkiem?

— A! piękne obowiązki, nie ma co mówić, poddawać dzieciom tak szkaradne myśli.

— Co, co szkaradnego? — Czyż to ich, czy to moja wina, że zima się zbliża? — Co tobie dzisiaj!

— Nie upiłem się, nie, to pewna, ale... — Tu przerwał nagle, zwrócił się do córek z wezwaniem, ażeby wyszły i powstawszy z miejsca, zaczął szukać po kieszeniach.

— Patrz! tu masz nakaz płatniczy jeden, tu drugi! I cóż, mamy się z czego cieszyć?

— Cieszyć się nie ma powodu, to prawda; ale zawrzemy ugodę i będziemy spłacać częściami — odparła z rezygnacją pani.

— Spłacać? i od czegoż odejmiesz na te częściowe spłaty, kiedy pozostaje zaledwie ośmnaście do dwudziestu guldenów? A ty sądzisz, że inni jeszcze, nielichwowi wierzyciele spokojni? — Zapewne, bo ty nie wiesz, ile ja co dzień nasłucham się wyrzutów.

— To jeszcze nie uciekamy ze Lwowa — zauważała pani Boromeuszowa.

— Ale ostatecznie oni mają słuszność, im się należy. Kiedym zgryziony, to na cały świat zagniewany jestem; ale cóż to pomoże, czy nie my sami winni?

Pani Boromeuszowa zaczęła chodzić po pokoju, co było znakiem niezadowolenia. Ale i ten wyraźny dosyć objaw niezadowolenia nie powstrzymał pana Boromeusza.

— Piętnaście lat; piętnaście lat rozmyślam już nad tem, jakimby sposobem wybrnąć z tych długów, i napróżno! Oczewiście, ledwie co trochę się usunęło, znalazłaś zawsze nowe potrzeby. Świeżych przykładów nie brakło ci nigdy: to mają tamci, a tamto owi. — Tamci i owi mieć sobie mogli, bo mieli fundusze, lecz myśmy wielu rzeczy nie powinni byli mieć! Moja kochana, nie masz się o co gniewać, ja ci mówię prawdę; prawdę dla naszego i dzieci naszych dobra. Wierz mi, jestem mocno zmartwiony, zrozpaczony prawie!

Pani Boromeuszowej przedstawił się mąż, jakby nie ten, z którym mówiła wczoraj, którego wczoraj znała. Zwykle żartami zbywający nawet nie małe troski, nagle jakby podupadł na duchu. Usiadła koło niego i odezwała się łagodnie:

— Ja przecież nie chcę nic takiego, coby pociągało nadzwyczajne wydatki. Mówiłam ci o sprawieniu czegoś na jesień, ależ ty wiesz, że to konieczna potrzeba. Zresztą, nie zgadzasz się, no to nie! Ale co tobie jest, ja cię nie poznaję?

— Co mnie? Od lat blisko dwudziestu, ciągłe dopominanie się, groźby, grubjaństwa wierzycieli! O, moja kochana, to człowieka musi nakoniec pognębić. A oprócz tego, moja kochana, ty nie masz nawet pojęcia, co ja

znosić muszę w biórze. Wiecznie jakieś ugryzki, anegdoty na koszt głupich, wyraźnie ci mówię, jak tam słyszę, głupich pretensyj tego narodu, który więcej nie będzie narodem. A wiesz o kim tak mówią? Naturalnie, że o nieszczęśliwych Polakach, o nas. Gdyby to osobiste jakie przycinki, do mojej tylko osoby, to mniejsza tam o to; gdy widzę, że mię ukąsić chce gadzina, uciekam — a kiedy zły człowiek mówi, nie słucham. — Ale to wszystko, i najświętsze kalają plugawemi żartami. Otoż razem zebrawszy te upokorzenia, nędzę, biedę naszych dzieci, bo wszakże one cierpią zarówno z nami a może i przez nas — czy nie dość mam do znoszenia?

— To prawda, prawda — odparła pani Boromeuszowa — ale zdawało mi się zawsze, że my nie żyjemy nad stan.

— Zesumowawszy całe życie nasze, coż mamy? długi. Z tego wypływa, iż żyliśmy nad stan, i to do pewnego stopnia, przechodzącego o wiele tę możność życia nad stan.

Pani Boromeuszowa nie rzekłszy już nic, wyszła do drugiego pokoju, a ztamtąd powróciły dwie młodsze córki.

Melanja pozostała z matką.

Stasia przybiegła do ojca z zapytaniem:

— Tato bardzo smutny?

— Nie, ja myślę teraz.

— O czem, jeżeli wolno wiedzieć?

— O! to, nad czem myślę, zadałoby cios śmiertelny całej prawie połowie rodu ludzkiego, to jest, płci niewieściej.

— Dla Boga! Coż to tak okropnego? — zawołała Urszulka.

— Myślę, moje dzieci, jakimby sposobem znieść, zgubić, zatracić modę!

Urszulka uśmiechnęła się figlarnie.

— Trzebaby chyba i wszystkie dziewczęta pozabijać.

— Prawda, masz słuszność. Jednem słówkiem roztropnem zniweczyłaś cały plan tak piękny.

— No proszę, to tatko miał już i plan osnuty? — odezwała się Stasia.

Zajęci sobą nie posłyszeli, jak wszedł ktoś, aż nagle zawołała Urszulka:

— Pan Aleksander! (C. d. n.)

POŻEGNANIE.

Pieśń Portugalczyka wychodźcy.

(Przekład z Lenaua.)

Ostatnie moje przyjm pozdrowienie!
Ojczyzno moja! — co pełna trwogi,
Ślepo despoty spełniasz skinienie,
Do stóp mu padasz, całujesz nogi.

I chociaż strzegłaś senną dziecinę,
Igraszek zażył chłopiec w młodości,
Choć młodzian znalazł tu, swą jedynę —
Ach! — lecz dla męża — nie masz wolności!

Strzelec na chwilę o ziemię pada,
Gdy przez parowy pędzi chrzęszcząca
Źwierząt rozżartych dzika gromada —
Aż minie zgroza i trwoga drżąca.

Ojczyzno moja! — tak się ty walasz
W pyle, uczuwszy despoty kroki,
I przejść po karku swoim pozwalasz,
Wstrzymując w piersi oddech głęboki!

Do Nowej ziemi — unoś mię łodzi!
Płyń, gdzie wolności goreją znicze,
O! morze! nieś mię, błagam powodzi!
Unoś! — wolności znać chcę oblicze.

O! Waszyngtona wolnych przystani,
O której ziemię kwietną i żyzną
Ciemięztwa fale bijąc z odchłani —
Strzaskane giną! — witaj ojczyzno.

KWIAT I ONA.

Ścięty w ogrodzie, w bukiet związany,
Aż w pięknej znalazł się dłoni,
I jeszcze świeży w włosy wplatany,
Na białej zwieszał się skroni.
Spoczął na łonie... chwilę przepaskę
Ozdabiał pięknej, wielbionej!
Ale, ach! kwiatek popadł w niełaskę!
I dzisiaj zwiędły, tulony
Do mego łona, na mojem sercu
Spoczywał także przez chwilę.
Chciałbym go widzieć tkanym w kobiercu,
A w koło skrzydła motyle...
Ach! tak, motyle, bo te odlecą,
Na innym kwiatku usiędą...

. . . .

Oczy bławaty, co niebem świecą,
Ach! dla mnie — czy także będą?

Lipiec 1864 r. *S. S. T.*

Kapryśna sierota.

Drze muszliny, rzuca kwiatem!
Płacze, rączki łamie:
„Po co mi się znać z tym światem,
Kiedy świat tak — kłamie!“

Staruszeczek przy niej biada,
I łzy wnuczce gani:
— Czasem w życiu trudna rada,
Lecz tobie?... Tyś pani! —

„Co mi to za panowanie,
Gdy mię męczą wiecznie!“
— Niech waćpanna o! tak stanie,
A tak stąpi... grzecznie. —

— A niech pani tak nie wodzi
Oczami — nieskromnie! —
To panience bardzo szkodzi,
O! szkodzi ogromnie! —

„Dziadziu drogi! oszaleję,
Albo serce pęknie!“
— Co to znaczy? Co się dzieje? —
„Dziadzio się nie zlęknie?“

— Nie, nie dziecko! mów, co tobie? —
„Dziadziu, dziś w rozpaczy
Rzekłam cioci, niechaj sobie
Wyjechać ztąd raczy!“

— Za coż, za co takaś sroga? —
„Dziadziu! ktoś powrócił
Ze Sybiru... dusza droga
Mnie, i ten zasmucił!

„Że ubrany był ubogo,
Że dłoń spracowana,
Rzekła ciocia: — Idź swą drogą!
My nie znamy pana! —

„A ja — znam! bom go poznała,
Henryk wrócił żywy!
Ciocia chce, bym udawała...
O! świat niegodziwy!

„I coż z tego, że on w nędzy,
Niech sierotę bierze!
Mam, mówiłeś dość pieniędzy,
Ja dziadziowi wierzę.

„To mię wydaj, niech mię bierze
Kiedyśmy bogaci,
Lub, — jak kocham! mówię szczerze,
Że mię dziadzio straci.

„Pójdę, gdzie oczy prowadzą,
Bo tu obłudnicy!“
. . . .
Już staruszek z ciocią radzą
Słuchać kapryśnicy. *L. S. T.*

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy“.

Działo się to pod owe czasy, kiedy jeszcze nie było na świecie naszych pradziadów. Za pięcioma morzami, a za siedmioma górami żyli ludzie — jak ludzie: to ciesząc się, to smucąc... a wśród nich rosło pacholę, które Bóg wiedział: zkąd się wzięło w wiosce. Chowało się to, żyło... aż wyrosł chłopak słuszny, a od ludzi!... Przezwano go Cieniem, bo się błąkał po górach, od ludzi rad stronił i cały był — nicpotem!...

Włosy miał lniane, w oczach dwie nezabudki, koral za usta, a postać młodej brzozy; grał cudnie na fujarce; ale piękniejsze flety miał w głosie, w uśmiechu zaś — pogodę majowego ranku. Nikomu drogi nie przeszedł, nikogo o nic nie prosił; żył jak żyją ptaki leśne i motyle na kwiatach.. a ludziom się nie nadał!

— Czemu ten Cień taki, a owaki?... — pytali jedni.

— Dla czego on nie jest taki, a taki...? — troskali się drudzy; i biednego chłopca każden miał — przynajmniej na ustach... Obaczą go — dziwno się im robi; pomyślą o nim — bierze ich turbacja: Co z tego Cienia będzie?... A Cień nic sobie nie robi z niczego. Chodzi po górach, patrzy w niebo, na kwiaty... jemu nie źle na świecie — ludziom źle z Cieniem!

— O czem ty myślisz? chłopcze? — pytają go starzy.

— Ot tak — odpowiada im. — O niczem.

— To i źle, bo nic z ciebie nie będzie.

— A co by zaś być miało? — zapytuje.

Smieszny chłopczyna!

— Czego błąkasz się po górach? — pytają go rówieśnicy.

— Zgubiłem — powiada — to, czego nie miałem, i szukam... może go znajdę!

Oczewiście rozumu niespełna!

— Co tobie jest? Cieniu! — zapytywały go dziewczęta.

— Nie wiem — odpowiadał smutnie, i doprawdy nie wiedział; choć i to prawda, że ludzie również nie wiedzieli: czego ich głowa boli o Cienia, któren ani ich krewnym, ani był przyjacielem.

Skończyło się na tem, że starzy i młodzi, chłopcy i dziewczęta powiedzieli zgodnie, że „Cień głupi!“

Głupi i głupi — tak już zostało; a Cień myślał: »Może i prawda?« bo nigdzie swego rozumu nie widział, choć i ludzki rozum chował się przed nim. Głupi... A no, to głupi!

I kto wie czy tak by nie zostało na zawsze; ale przyszła do wsi stara, z za gór, wróżbita; wszystkim wróżyła z ręki, i nie każden był rad z przepowiedni; aż jeden, co mu wróżbita przepowiedziała, że do oślich uszu dostanie rogów parę, chwycił za ramię przechodzącego Cienia i krzyknął do wróżbity.

— Powróżcie temu jeszcze!

Cień chciał uciekać, bo się lękał wszystkiego; ale go zatrzymała wróżbita.

— Poczekaj chłopcze, popatrzę na rękę.

Ledwie spojrzała, zaczyna ruszać głową, wykrzykuje zcicha i coś szepcze pod nosem.

Ludzie w śmiech, bo wiedzieli pewno, że coś złego powie głupiemu; a wróżbita:

— Szczęśliwy ty, chłopcze — powiada. — Tobie tu wiele napisano i pięknie: będziesz miał szczęście Cieniu, i pokłonią ci się wszyscy.

Ździwili się ludzie, ździwił Cień bardziej jeszcze, a skończyło się wszystko — śmiechem, że wróżbita stroi sobie żarty z głupiego, bo gdzieżby mu kto miał się kłaniać kiedy?

— Żeby głupi miał szczęście — powiadali — kiedy z nas żadnemu go nie przepowiedziano... to cała nieprawda! Cień jak był, tak zostanie głupim! Żartuje wróżbita...

— Oj, nie żartuje... — powiada stara — Cieniu będziesz miał szczęście.

Ludzie z początku śmieli się z wróżbity; później w gniew wpadli, a w ostatku zabrali się do jej grzbietu, żeby głupiemu nie wróżyła szczęścia, bo im tego nie trzeba, i to nieprawda!...

A stara swoje:

— Będzie miał Cień szczęście, i pokłonią mu się wszyscy!

Tak to rozgniewało ludzi z wioski, że wśród klątw i pogróżek wypędzili wróżbitę ze wsi, a z nią wraz i Cienia.

— Idź głupi za szczęściem — wołali. — Niech ci go da czarownica, skoro tak powiada!

Płakał Cień i jak mógł prosił, by go nie wypędzano... Wszystko zdało się na nic! Wygnano Cienia i wróżbitę za kopce graniczne.

— Coż ja teraz pocznę nieszczęśliwy! — załamał ręce chłopiec — kiedy ja tu nogą nie stąpiłem jeszcze. Oj, biedny ja z tą wróżbą przeklętą!

— Nie bądź bo głupim Cieniu — powiada doń wróżbita — i nie płacz, skoro cię szczęście czeka.

— Czeka?... A co ja będę jadł i czem się żywił teraz!

— A czem żywiłeś się dotychczas?

— Czem Bóg dał — odpowiada.

— A teraz to Bóg nie da? głuptasiu!... Więcej on ma, aniżeli rozdał, i jest tam u niego dość chleba dla ciebie. No, otrzyj łzy i posłuchaj co ci powiem.

— A no, to słucham.

— Dobrze chłopcze. Pamiętaj co powie stara. Jak się człowiek rodzi, to Bóg mu wysyła szczęście przodem. Co człek stąpi krokiem, to szczęście przy nim dwa ich przejdzie. Ty w prawo — ono w lewo... ty na górę — ono w dole; a zawsze tuż koło ciebie... Kto mądry — da susa, uchwyci oburącz — i już go ma! Tylko nie puść, bo znowu wróci do Boga! — I ty masz swoje szczęście, które tu jest koło ciebie; tylko umiej go w czas pochwycić, trzymaj mocno, a będziesz szczęśliwy! Idź teraz w świat chłopcze, przed siebie gdzie poniosą oczy; a w wielkiej przygodzie, gdy ci już będzie bardzo trudno, zażyj to cudowne ziele, i... bądź zdrów! Może się jeszcze kiedy obaczymy.

To rzekłszy, rozpuściła na wiatr czarną chustkę, wyrzekła słowa tajemnicze, i znikła, pozostawiając Cienia w osłupieniu.

›I ty masz swoje szczęście... idź w świat gdzie poniosą oczy...‹ brzmiały mu w uszach słowa wróżki.

— Ha! co będzie, to będzie — pójdę! — I poszedł.

Szedł godzinę, drugą i do zachodu słońca, górami, dolinami... idzie gdzie wskazują oczy. Znajdzie owoc leśny, lub grzyba — zje; źródło napotka — wody się napije; a na spoczynek wydobywa fujarkę i gra — płacze... bo szczęścia nie spotkał i nie wie gdzie go szukać. Głos fujarki, od traw do kwiecia płynie po szerokiem błoniu; obije się o skały — skały podają go echom, i smętna nuta płynie dalej, a dalej! Spojrzy Cień za siebie — tyle światu zostało... spojrzy przed siebie — jest go więcej jeszcze... a dla biednego chłopca nie ma kącika, gdzieby głowę skłonił spokojnie!... Bieda z wróżbitą, że mu szczęście wróżyła!

Westchnął chłopiec, łzę otarł z oka, i rusza dalej.

Idzie godzinę, drugą; przechodzi rzeki, strumienie, idzie po piaskach i skałach; aż go noc zaskoczyła w wielkim lesie. Strudzony, zbiedzony jak padł Cień u strumienia, tak i zasnął, niepomny: czy go źwierz rozszarpie; czy gad jadem zatruje. Śpi smacznie, i śnią mu się rozmaite dziwa.

Wypłynął księżyc na niebo, i twarz oświecił śpiącego; wiatr pierwszy ujrzał go i pobiegł igrać z jasnemi włosami Cienia; nocny motyl — dusza niegdyś zimnej zalotnicy — koło ust jego krąży; kwiat schylił się po oddech śpiącego... A Cień śpi, i różne marzą się mu dziwa.

W strumyku plusnęła złota rybka — obaczyła dziwo: uśpionego młodzieńca... Plusnęła raz drugi, by mu się lepiej przyjrzeć... Plusnęła raz trzeci, i na brzeg wychodzi — ale nie złotą rybką, tylko cudownej piękności Rusałką.

Żadna dziewczyna wiejska nie ma tak długiej kosy! żadna panna miejska tak pięknie utoczonych ramion! żaden kupiec nie ma takich brylantów, jak jej świecące oczy!... Stanęła nad śpiącym Cieniem i patrzy w jego twarz uśmiechniętą. Patrzy długo, długo... kto wie jakie rodzą się w niej myśli? kto wie jakie budzi się uczucie w sercu?... Na lica występuje rumieniec, marmurowa pierś wznosi się silniejszym oddechem, luby dreszcz przebiega ciało...

O, co się stało z leśną czarodziejką! oczarował ją młodzian śpiący u strumienia. W milczeniu nachyla się nad Cieniem; powódź włosów okrywa ją całą; ogień większy, drzenie silniejsze... spłonęła rozkoszą dotknąwszy się ust śpiącego...

Pocałunek budzi młodziana. Cień otwiera oczy... a gdy ich błękit odbił się w błyskawicach spojrzenia Rusałki — już ją miał Cień wszystką! wszystką po wieki!

Młodzieniec przeciera oczy zdziwiony... nie wie czy śni jeszcze? Otwiera usta, by przemówić... Rusałka zamyka je różowym paluszkiem; a gdy ten słabą jest zaporą — usta jego przykrywa swemi usty, i szepcze:

— Cicho! — aż srebrną falą zadrżał strumyk, rosy traw i kwiecia skąpały się w promieniach księżyca.

— Cicho! — powtarza Rusałka.

Ale Cień nie milczy, bo mu przeszkadza zdziwienie; on pragnie mówić z dziwną nieznajomą, i zapytuje:

— Kto ty?

— Twoja — odpowiada Rusałka, i cała płonie szkarłatem, oczy przysłania długą rzęsą, nie śmiejąc spojrzeć w szafiry ócz młodziana.

— Moja? — zapytuje Cień bardziej zdziwiony. — Lecz co ty za jedna? bo cię nigdy nie widziałem pierwiej...

Drżąc roskoszą i tajemną trwogą, odpowiada mu:

— Rusałka...

Cień zbladł, bo duchów lękał się bardzo; a wie, że rusałki pozbawiają życia. Lęk wybiegł mu na twarz, i ukazał się w oku.

— Nie trwoż się — mówi doń Rusałka — nie lękaj się, luby! Troski życia już cię odstąpiły — znajdziesz szczęście...

— Gdzie? — zapytuje już śmielej młodzian, pomny słów wróżbity. — Gdzie to szczęście! bo go szedłem szukać światem.

— Już go znalazłeś. Tu, ze mną, przy mnie będziesz szczęśliwy!

— Z tobą?... To chyba nieprawda?... Ty nawet koszuli nie masz na sobie...

Rusałka spłonęła wszystka. — Daje znak tajemny. Nimfy wodne stają do jej usług; znoszą ubrania, stroją swą panię, i w oczach Cienia odbywa się cudowna przemiana Rusałki. Suknię ma z białej piany wodnej, ubraną w perły i korale; cudną jej kibić obejmuje pas tkany z muszek świecących i na głowie wianek z lilij wodnych, a w każdej zamknięte złudne płomyki; końcami spływa trawa, na której rosa zastygła brylantowemi kroplami.

Stanęła i pyta:

— Cóż? — a głos jej drzy nadmiarem uczucia.

Cień jeszcze nigdy takiego ubioru nie widział.

— Ślicznie! — woła w zachwycie, i zachwyt wywołuje w Rusałce. Czarodziejka rzuca mu się na szyję, pierś do piersi i do ust jego przyciska swe usta — zimne jakby lodowe...

Cień dotknął jej ubioru, ją ujął powiewną — mgła! nic, zcalone w kształt nadobny... i sam nie wie dla czego posmutniał...

Rusałka smutku nie widzi. Jak bluszcz gdy konary dębu oplata, jak mgła gdy okryje dolinę — czarodziejka zlewa się, zcala z pięknym młodzianem, i:

— Luby! — szepcze rozkosznie. — Zostaniesz ze mną na zawsze! Ustroję cię w tęczowe blaski, w włosy powplatam promienie księżyca, pod nogi rzucę gwiaździsty kobierzec, i poprowadzę tam, gdzie nas już nic nie rozdzieli!... Ale cóż ci to? luby! co? mój świetlany!...

— Chce mi się jeść — odpowiada Cień naiwnie, i w smutku pogrąża Rusałkę.

— Jeść!... — mówi smutnie. — Ty musisz jeść... Ach! tyś — człowiek...

— We wiosce zwano mię Cieniem...

— Cień? O, gdybyś nim był! — woła Rusałka. — Postać byś moją odbijał, powtórzyła bym się w tobie raz drugi... Aleś ty człowiek!

W tej chwili silniej zawiały drzew wierzchołki, dał się słyszeć świst przeciągły; wrzask i dzikie śmiechy zmieszały się z liści szelestem, i jak z chmur wypłynęła ta pieśń dziwna:

Hu, w górę!
Hu, w chmurę
Na wody las!
Księżyce, gwiazdy!
Dalej do jazdy,
Dogońcie nas!
Z nadchmurnej kołyski
Pioruny i błyski
Tu do nas, co tchu!
Nad lasy, nad wody,
Lecimy na gody —
Hu-hu! hu-hu!

Spojrzał Cień do góry. Widzi: wiankiem splecione mkną po nad drzewa rusałki; czarna chmura płynie za niemi; wężowe pioruny warczą w niej, ogniowe wystawiwszy języki...

Duszno po przejściu rusałek! liście więdną, ptaki z gniazd spadają, źwierz głębiej kryje się w ziemię...

Pobladł Cień z trwogi; zbladła i Rusałka na widok towarzyszek; a całą nią wstrząsnął głos wołający: »Leśna! Leśna!« aż go dalekie echo odbija.

— Wodnica! — szepnęła trwożnie Rusałka. — Ona mi go zabierze — dodała, patrząc na Cienia, któren coś groźnego wyczytał w jej spojrzeniu... Ale nie miał czasu błagać o litość — Rusałka, zerwawszy z włosów liliowy swój wieniec, powiała nim trzykroć, a zakląwszy słowo czarowne, rzuciła go na twarz młodziana. Cień zachwiał się, głowa opada mu na piersi, ugięły się kolana, powieki same zakrywają się zwolna — zasnął...

Leśna szybko ugięła liści paproci, i przykryła niemi śpiącego. W tej chwili stanęła przed nią Wodnica.

— Co tu porabiasz! siostrzyczko! — pyta, podejrzliwie patrząc w około.

— Zbieram sen-ziele — odpowiada jej Leśna — na poduszkę dla królowej. Uznoiłam się przy pracy...

— A więc śpiesz że z powrotem, bo królowa cię oczekuje.

Leśna westchnęła zcicha, i spojrzawszy nieznacznie w stronę paproci, odeszła ze sen-zielem, zostawiając Wodnicę w miejscu, w którem by ją zostawić nie chciała... Więc też po małej chwili zwróciła się do towarzyszki:

— A ty siostrzyczko, nie pójdziesz? — zapytała z tajoną obawą.

— Zostanę nieco w lesie — odpowiedziała Wodnica. — Śpiesz się, siostro.

Leśna znikła, z westchnieniem.

Zły duch był w Wodnicy, i on też szepnął jej słówko rodzące podejrzenie.

— Nie napróżno ona była w tem miejscu — myśli rusałka — a że nie dla sen-ziela, to ręczę! — I nuż rozglądać się w około, nuż wybadywać wszystkich! Zwraca się do drzew, strumienia, do skał okolicznych — milczą... nie boją się mocy Wodnicy, bo władnie niemi Leśna. Ale księżyc do niej należy — księżyc tu świecił, on wie o wszystkiem!... Pyta go łaskawie — nic nie odpowiada... zapytuje groźnie — nie przerywa milczenia.

— Ach, chcesz doświadczyć mej mocy blada maro! — woła rusałka w gniewie. — Dobrze!

To mówiąc chwyciła pęk promieni księżyca, o dąb je owija; każe wiatrom wiać gwałtownie... Wiatry wieją, dębem kołyszą i boleśnie szarpią brodę księżyca.

— Powiedz coś widział! — woła rusałka; ale księżyc choć cierpi, nie zdradza tajemnicy Leśnej.

Rusałka wysila się w wyszukiwaniu nowych męczarni; aż wzruszona cierpieniem księżyca paproć postanawia go ratować: rozchyla swe liście i pokazuje śpiącego Cienia.

— A! — wykrzykuje Wodnica. — Otoż sen-ziele siostrzyczki! O, moja skromna! mam twą tajemnicę i ciebie w mojem ręku. Tyś mię ubiegła w łaskach królowej — a ja ci miłość odbiorę... obaczymy kto na tem wyjdzie gorzej!

Długo wpatrywała się w twarz śpiącego, a znalazłszy, że nie zły gust miała Leśna wstrząsnęła Cieniem, gwałtownie.

— Wstawaj! — rzekła doń groźnie.

Cień oczy otworzył, a pomny z jaką myślą zasnął, nie miał nic śpieszniejszego, jak zawołać głośno:

— Dajcie jeść! bo głodny jestem bardzo.

Jakaś myśl nowa przebiegła po głowie Wodnicy; skinęła — Cień ujrzał się otoczonym potrawami najwykwintniejszemi; a chociaż nie wiedział: jak się zowią? a nawet

czy jeść je ma ręką, lub też łyżką — zaspokoił apetyt, i popiwszy objadek smacznem winkiem, zwrócił się do rusałki; z nie małem jednak zdziwieniem spostrzegł, że nie była to Leśna. Wziął go lęk nie mały... ale widok potraw i wina, któremi został uczęstowany kazały mu przypuszczać, że dostał się w moc czarodziejską, równie jak poprzednia, nie szkodliwą.

Wodnica bacznie wpatrywała się w oblicze Cienia, a gdy w niem nie dopatrzyła obłudy, przyzwała uśmiech na usta, i strojąc się we wszystkie wdzięki niewieście, zapytała łagodnie:

— Dawno już jesteś w tym lesie?

Utaić się nie da, że łagodny wyraz twarzy rusałki nie zniszczył obawy w Cieniu, któren nie mógł szczerością odwdzięczyć się za jej łaskawość.

— Jak długo jesteś w tym lesie? — powtórzyła pytanie Wodnica.

— W lesie? — rzekł Cień już nieco śmielej. — W lesie byłem pierwiej, aniżelim zasnął.

— Była tu z tobą rusałka?

— Jeżeli poszła, to była.

— Podobałeś się jej bardzo...

— Jeżeli się nie krzywiła, to — może...

— Czyś ty chłopcze taki głupi, czy mądry zanadto!...

— Jednego nigdy mało, a drugiego za wiele!

— Nie głupi — myśli Wodnica — i nie szpetny wcale! Nie dam go Leśnej... a dla mnie się przyda! — Słuchaj mię chłopcze. Jak się zowiesz?

— Sam siebie nie nazywam.

— A ludzie jak cię zowią?

— Dla ludzi jestem Cieniem.

— A! więc pod tym cieniem, chce się Leśnej spoczynku... — pomyślała złośliwa rusałka, i rzekła głośno: — Powiedz mi Cieniu, tylko prawdę: czy ci się podobam?

— Ta... objad był smaczny...

— A Leśna czy piękniejsza?

— Spać kładzie nie nakarmiwszy — dziękuję za jej piękność!

— Dobrze mówisz, chłopcze. To zła rusałka, i byłaby cię zgubiła... Ale ja chcę twego dobra, i ty mnie słuchaj.

— A no, to mówcie.

— Chodź że ze mną.

— Wolałbym pojechać, bo widzę zadużo zjadłem...

— Masz tu łopuch — wsiadaj!

— Łopuch! A cóżbym z nim robił?...

— Głupiś! wsiadaj.

Rad nie rad siada Cień do łopucha... A to dziwo! wlazł cały, i siedzi jak w karecie; a przy nim rusałka; łopuch tylko warczy — tak mknie ponad lasem!

Cień myśli: — »piękna jazda! Ale co to z tego dalej będzie?«

Lecą, lecą — kto wie jak długo... Przylecieli. Rusałka powiada:

— Złaź!

— Ba! złazić, kiedy nie ma nic pod nogami!... Cień w kłopocie jak tu wyleść z wygodnego łopucha... Ale rusałka radzi po swojemu: trąciła wóz nogą, łopuch pękł, a Cień z niego wyleciał jak piłka! Młynkował w powietrzu, wywracał kozła za kozłem; już myślał, że trzeba przepadać... zamknął oczy, polecając się Bogu i... zatrzymał się. Nie na dnie strasznego piekła, nie w przepaści żadnej, ale w roskosznym pałacu, świecącym od złota i drogich kamieni. Biją do góry wysokie fontanny wody różanej, najpiękniejsze bluszcze czepiają się ścian przysionków; mnogość zamorskich kwiatów, jak w ogrodzie; ptaki śpiewają, muzyka gra.

Na widok tylu dziwów, Cień zapomniał o wszystkiem, cały w zachwyceniu.

— Wszystko co tu widzisz Cieniu, jest twojem — rzecze doń rusałka. — I więcej ci dam jeszcze, bo czego tylko zapragniesz natychmiast mieć będziesz. Jednego ci tylko nie wolno: po za ten pałac nie wyjdziesz nigdy!

— A poco bym miał wychodzić, kiedy nic piękniejszego nie znajdę! Ale czy to prawda, że mogę mieć wszystko?

— Wszystko! — odpowiada Wodnica.

— A no, spróbujemy. Niech mi tu zastawią objad, a lepszy od tego, com go jadł w lesie!

Ledwie wymówił — jest objad, jakiego nie ma król najpotężniejszy.

— Teraz mi dać dobrego wina flaszkę, a taką, która by zawsze pełna była.

Flaszka stanęła na stole. Cień probuje wino — dobre! Wylewa go za okno, aż popłynął strumień — flaszka pełna! Nie skłamała rusałka.

— A teraz, skoro jestem panem — muszę mieć piękne ubranie! Spojrzy w lustro — już jest ustrojony jak panicz najbogatszy. — Podać mi fajkę na długim cybuchu! — Fajka dymi się przed nim tytoniem... — Muzyka! — Już gra. — Skoczki! — I tych nie braknie. — Grajcie i tańczcie, bo p a n chce spoczywać. Dobranoc rusałko!

— Bądź zdrów Cieniu — powiada Wodnica. — A pamiętaj, że ztąd nie wyjdziesz nigdy!

— Dobrze, dobrze!... — mruczy Cień zasypiając. — Idź już sobie z Bogiem!

Wodnica uśmiechnęła się złośliwie.

— Śpij, śpij — rzekła — Adonisie z krwi i mięsa... Kochanku skromnej faworyty królowej! — dodała, rzucając na Cienia spojrzenie przelotne.

— Do widzenia! — Przerzuca się w jaskółkę, i niknie w chmurach. (C. d. n.)

Rozmaitości.

* Stowarzyszeń i Towarzystw rozmaitych liczymy już co najmniej na dziesiątki. Zanim weszły w życie, musiały oczewiście być zaprojektowane. Oto i poniżej projekt, a raczej pomysł nowego Stowarzyszenia. Skarżą się gospodynie młode i starsze, że trudna rada ze sługami. Usługa albo powolna, albo wcale żadna. Ileż to razy nie westchnie się w lecie: Ach! gdyby mi kto podał szklankę świeżej wody! Albo: powrócił z tem lub owem a prędko z miasta. Rada byłaby na to najprostsza, gdyby załatwiać sobie samym niektóre sprawunki. Zrobionoby tak, ale — otóż to właśnie owo nieszczęsne — ale nie wypada, nie uchodzi i t. p. Gdyby uchodziło przynieść sobie samej wody świeżej, — z miasta sprawunek nie duży... gdyby! Ale cożby na to druga połowa rodzaju ludzkiego powiedziała? Co mężowie, młodzieńcy, panicze! Strach pomyśleć. A jednak, gdyby zawiązało się „Stowarzyszenie ku obaleniu przesądów!“ Bogu dzięki, bo oto i najstraszniejsze, wypowiedziane. Może Stowarzyszeniu takiemu przebaczonoby dla miłości powszechnej mody Stowarzyszeń.

A czy przyniosłoby jaką korzyść? Gdyby Towarzystwa członkowie, t. j. panie składały tylko po pół centa miesięcznie — najmniejsza cząstka uniknionej szkody — zebrałby się fundusz dla sług dobrych, wyraźnie d o b r y c h, z którego udzielanoby owym dobrym w razie zaniemożenia i t. p. i t. p. Bo, wszak to tylko pomysł, który nie podniesiony nie będzie nawet projektem.

* Dwa tomy R a c h u n k ó w z r o k u 1867 Bolesławity, wydane w Poznaniu, są już w hadlu księgarskim i kosztują 10 złr. 80 cent. Jakkolwiek przywykliśmy do płacenia za książki polskie bardzo drogo, nasuwa się jednak mimowolnie uwaga, czy pomieniona cena nawet wobec praktykowanej drogości książek polskich — nie jest zanadto wygórowana?

* W Krakowie wyszło „O k r e d y c i e r o l n i c z y m“ przez Kazimierza Chłędowskiego. Autor zaczyna być znanym z prac literackich na polu nauk społecznych.

* Gmina miasta Drohobycza czynem dowodzi, jak to przyczyniać się do szerzenia oświaty. Wydała kosztem pożyteczną książkę p. t. „Rys pedagogiki, przez Edwarda Hückla prof. gim. w Drohobyczu.“

* *Polens Auferstehung die Stärke Deutschlands.* Pod tym napisem wyszła we Wiedniu broszura, której autor, pan G. Kinkel stara się udowodnić, że Niemcy tak długo silnemi nie będą, dopóki przeciw Moskwie nie wzniosą przedmurza, odbudowując niepodległą Polskę. Pan Kinkel przedstawia w swej pracy jako nieprzyjaciół Polski nietylko jedną Moskwę, ale i Prusy, które zawsze i wszędzie dopomagały carskiemu rządowi w gnębieniu narodowości polskiej.

* † W Krakowie umarł dnia 3. b. m. A m b r o z y G r a b o w s k i w 86 roku życia swego, poświęconego wytrwałej pracy i niestrudzonych zabiegów na niwie historji, topografii i starożytnictwa ojczystego. Dnia 5. sierpnia odbył się jego pogrzeb.

* † E u g e n i u s z N o s k i e w i c z, urodzony w Hołem koło Rawy ruskiej roku 1840, syn parocha gr. kat. śp. Teodora Noskiewicza, pospieszał zgnębionej i zagrożonej ojczyźnie, jako wierny syn, po kilkakroć w szeregi obrońców, gdzie w wyprawie Radziwiłłowskiej roku 1863, w oddziale śp. Horodyskiego, na rynku radziwiłłowskim obok wodza swego ciężko ranny, został jeńcem Moskali. Po podźwignieniu się z ran, wysyłany z twierdzy kijowskiej na Sybir, przebywał w niewoli ciężkiej aż do listopada roku 1867.

Stanąwszy na ziemi rodzinnej dnia 20. listopada 1867, z niezwątpiałym, silnym duchem, lecz ze zniszczonem zdrowiem, ze zrujnowaną od kuli piersią, niechcąc być ciężarem dla kraju, podjął się kierownictwa robotami ziemnemi przy budowie kolei brodzko-tarnopolskiej, w okolicy Barszczowic, zkąd chorobą piersiową zwalony, przybył dnia 24. lipca b. r. na kurację do lwowskiego szpitalu głównego, gdzie po kilku dniach, bo 30. lipca b. r. zakończył żywot swój krótki. Pokój jego cieniom!

Pogrzeb odbył się dnia 1. sierpnia 1868 o godz. 5. po południu.

* W Kołoswarze (Klausenburg), w Siedmiogrodzie, będzie postawiony pomnik dla jenerała Józefa Bema, którego pamięć żyje i żyć będzie po wieczne czasy w Węgrzech i w ziemi Siedmiogrodzkiej. Składkami i wystawieniem pomnika zajmie się komitet honwedów komitetu Biharskiego.

* W wyższym zakładzie naukowym żeńskim panny H e l e n y P o ż a k o w s k i e j, we Lwowie przy ulicy Dykasterjalnej w domu pana Towarnickiego, rozpoczynają się wykłady nauk dla kobiet.

Dobra sława jaką ma zakład, pozwala polecić go rodzicom, dbałym o należyte wychowanie swych dzieci.

Nie tylko programatem, ale odznacza się on starannym doborem nauczycieli, pomiędzy którymi są panowie Stanecki (Fizyka), Tatomir (Historja i Geografja Polski), Stachurski (Literatura i Estetyka). Rzeczą zaś najważniejszą, i po raz pierwszy praktykowaną we Lwowie jest to, że i nieuczenicom Zakładu wolno korzystać z prelekcyj, za opłatą miesięczną 1 złr. od przedmiotu.

Bardzo często zdarza się, że osoba wykształcona nie jest należycie obeznaną z tym lub owym przedmiotem; otoż pensja p. Pożakowskiej takim osobom daje możność dopełnienia edukacji przez uczęszczanie na wykłady zdolnego profesora. Zresztą przedmioty jak historja, literatura i t. d. mają same w sobie dość interesu, by zachęcić kobiety do przepędzenia kilku godzin w tygodniu z przyjemnością i pożytkiem, uczęszczając na wykłady.

Usiłowaniom Przełożonej zawdzięczyć należy, że mamy obecnie we Lwowie rodzaj a k a d e m j i k o b i e c e j, do której to nazwy daje zakładowi p. Pożakowskiej prawo: wolność uczęszczania na wykłady kobietom bez różnicy stanu i wieku.

* Teatr nasz powrócił z letniej wycieczki i rozpoczął swe przedstawienia. „*Pensjonarki*“, utwory p. Dzikowskiego i t. d. dowodzą, że nie zejdzie on z drogi, po której wytrwale kroczy od lat czterech pod przewodem pana Miłaszewskiego.

* Teatr S z t e n g l a, wzbogacony nabytkiem p. H e n i g a (komik z teatru krakowskiego), pp. O r t y ń s k i c h (zdolni artyści z Królestwa) udaje się na Szlązk, do Cieszyna.

* Teatr p. Ł o b o j k i, ku zdziwieniu naszemu istnieje jeszcze. Z Limanowy (w Galicji zachodniej) nadesłano nam afisz tego teatru, w którym komedja „pierwsza lepsza“ F r e d r y, zatytułowaną jest jako nowy utwor, modnego obecnie Fredry (syna)... Biedna Galicjo! kiedyż ty wolną będziesz od podobnych teatrów?

☞ Oczekiwanie na transport papieru, który pomimo liczne reklamacje, nie był nam na czas przysłany, spowodował opóźnienie w wydaniu numerów „Nowin.“

Przepraszając P. T. Prenumeratorów za zwłokę nie pochodzącą z naszej winy, zawiadamiamy, że z numerem 39. „Nowin“ zostaną wydane zaległe arkusze Pisma.

Usilnem staraniem naszem jest zapobiedz na przyszłość podobnym zwłokom.

Wydawnictwo „Nowin.“

T R E Ś Ć:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.